

# Ciało produkuje moralność, kupe i pot

5 czerwca 2016

Jesteśmy dorośli – może więc czas powiedzieć to sobie wprost: nie ma żadnego prawa, żadnej moralności, ani żadnej instytucji, która mogłaby nas jakoś przed nami obronić. Jesteśmy tu, na tej planecie, wydani sami sobie na pastwę, a jak coś pójdzie nie tak, to żaden Bóg nie przyjdzie nas ratować.

My, ludzie, jesteśmy tu sami i stać nas na wszystko – na każde okrucieństwo i każdą wspaniałość. Możemy to wszystko rozpirzyć i nikt nie przyjdzie zapytać czemu. Trochę tak, jakby nas ktoś puścił po wodzie na szalupie wypełnionej bestiami. Można krzyczeć, można płakać, można się modlić, ale nigdy nikt się nie zjawi.

Powiem więcej: nie tylko że jesteśmy sami, to nie ma też żadnej „wyższej instancji” – żadnej moralności, żadnego „prawa naturalnego”, które byłoby podczipione do jakiejś nadludzkiej rzeczywistości – do czegoś wyżej, więcej. Nawet gdyby miał kiedyś nastąpić sąd ostateczny, to ma się on nijak do tego, co dzieje się tu dzisiaj. Możemy zabijać, niszczyć, plądrować i gwałcić do woli, i nikt nas nie powstrzyma.

Powiem jeszcze więcej: być może tego właśnie chcemy.

To jest myśl olśniewająca! Nie ma niczego, czego można by się było chwycić, do czego można by się było odwołać i czym można by się było obronić. Jest tylko przemoc i władza. Jest to nieznośne tu i teraz. I koniec.

Może więc czas się przerazić? Może czas się przerazić ludzkiej bestii, która nie cofnie się przed niczym? Która pragnie władzy. Której „współodczuwanie” nie jest z ofiarą, a z katem. Rozejrzyjcie się dookoła? Czy nie widzicie tego, co się

dzieje?

I naprawdę nie ma znaczenia, co było przed Wielkim Wybuchem. Nie miało to znaczenia w Auschwitz. Nie ma to znaczenia dla dzieci zdychających z głodu w brazylijskim buszu, nie miało to wpływu na Pol Pota. I nie powstrzyma ręki, która przyciśnie kiedyś atomowy guzik, tak jak nie powstrzymała ręki, która haczką do pielienia rozbijała czaszkę kobiety w Rwandzie.

## **JESTEŚMY BESTIAMI**

Choć może to określenie zbyt sentymentalne – chodzi mi jednak o angielskie znaczenie słowa „beast”, dzikie zwierze. Powiedzmy prościej. Jesteśmy organizmami żywymi, które wyposażono w niezwykle plastyczny system dostosowawczy – i można z nas ulepić wszystko. Matkę Teresę, Jezusa i Hitlera. Choć nie, Hitler to za mało – Mengele będzie tu lepszy. I może czas to zrozumieć, że w każdym z nas jest pragnienie, by stać się Mengelem – choćby nawet tysiąc dewotek, przedszkolank i nauczycielek miało się teraz śmiertelnie oburzyć.

Czy to takie egzotyczne wyobrazić sobie, że są wśród nas tacy, którzy pragną być Hitlerem, Mengelem, Neronem, Tedem Bundy i Breivikiem? Nacisnąć spust, zobaczyć strach, poczuć uwielbienie, rozłożyć ręce i stanąć ponad tłumem jako wódz. Bóg?

Nie istnieje w nas żadna siła „kierująca ku dobru”. Istnieje w nas każda siła, kierująca w dowolnym kierunku i każdy z nas ma w sobie wszystko naraz. Ta siła to ambicja, by stać się dla innych ważnym. By się „roztopić” w innych, przekształcić w miliony, by żyć wiecznie.

Bo w końcu, kto powiedział, że nie wolno zabijać?

Wielokrotnie wcześniej zwracałem uwagę, że najsilniejszym elementem opowieści o męce Jezusa Chrystusa jest chwila, w której Jezus ofiarowuje nam swoje ciało do pożarcia. To niezwykle patetyczna chwila: Jezus podaje uczniom chleb i

mówi: to moje ciało... Cóż to oznacza? Większość czytelników Ewangelii przeocza ten fakt – interpretując go symbolicznie, jako ustanowienie komunii Kościoła. Ale może trzeba potraktować go dosłownie? Może Jezus naprawdę pragnie zostać pożarty?

Potrafimy to przecież zrozumieć. Czyż nie tego pragnie każdy artysta, który oddaje swoją wrażliwość i duszę odbiorcom, każdy twórca, każdy człowiek? By stać się tak cennym, tak ważnym, by tłum chciał go pożreć – by zjedli jego ciało, by wchłonęło go całe plemię? Skupić na sobie dążenia i pragnienia wszystkich, stać się zwornikiem własnego plemienia i oddać się mu na pożarcie – zostać relikwią – a mówiąc jeszcze bardziej dosłownie: zapłodnić sobą wszystkich.

Przyjmijcie mnie do swoich serc, mówi Jezus – przez pożarcie mojego ciała – czyż to nie skrajne przedstawienie ambicja każdego z nas?

Moje ciało w milionach innych ciał.

Męka Jezusa jest opowieścią o Jego cielesności. Być może nie ma innej opowieści... być może wszystko, co nas dotyczy, jest cielesne. Albo inaczej mówiąc, to co nie jest cielesne, nas nie dotyczy. Może nie istnieje nic poza ciałem?

Może zamiast łądzić się, że jest coś więcej, trzeba by przyjąć wreszcie ten prosty fakt i ulec przerażeniu?

Każda zbrodnia i każda tortura dotyczy ciała.

Brzmi skrajnie? Ciało źródłem wszelkiej mistyki i ideologii? Może... Ale na potrzeby chwilowej rozrywki proszę przyjąć taką hipotezę: wszystko, co wydaje nam się wielkie i wspaniałe jest tak samo wytworem ludzkiego ciała, jak kupa i pot.

## **CZY ISTNIEJE MORALNOŚĆ?**

Oczywiście, że istnieje moralność. Ale nie została ona „nadana” przez Boga na górze Synaj, a wytworzyła się z

prostych oczywistości ludzkiego ciała.

W sumie, jakby się nad tym zastanowić, posiadanie ciała jest wydarzeniem doniosłym i niezwykle kłopotliwym – mieć do obsługi urządzenie tak skomplikowane, którym targają ciągle sprzeczne emocje i potrzeby, a zarazem tak delikatne, którego funkcjonowanie może zostać zakończone przez spadającą z balkonu doniczkę... I ta natarczywość konieczności! Bateria ludzkiego ciała nie różni się wiele od tej w komórce: kilka godzin za długo bez wody i kaput. Ciało wymaga właściwie ciągłej opieki, co chwilę dzieje się z nim coś, co zmusza do działania. No i fakty z nim związane, jak choćby to, że musi się przemieszczać, że się poci, swędzi, opala, że wilgotnieje w pochwie na widok Brada Pitta... że ujawnia sygnały kompromitujące, jak burczenie w brzuchu i brązowa wydzielina na gaciach...

Nie ma się co łudzić, że żyliśmy kiedyś w stanie pełnej akceptacji cielesnych procesów – ciało musiało stać się niepokojące natychmiast po tym, gdy człowiek rozpoznał swoje odbicie w lustrze wody, czyli dostrzegł siebie.

Już choćby to, że nie umiemy latać... a przecież chcemy. Już samo to tworzy problemy, które nauczyliśmy się nazywać mianem braków.

No a fakt, że ciało pożąda inne ciało? Że chce być miziane po plecach? Że chce być całowane w usta i między nogami... co z tym zrobić?

Nie czarujmy się – nie ma sposobu, żeby to wszystko uznać za „normalne i naturalne”. Nie było też nigdy takiej epoki, w której ludzie – jeśli to już byli ludzie – żyli w zgodzie z naturą swojego ciała i radośnie kopulowali ze sobą jednocześnie srając pod siebie – ciało zawsze stwarzało natarczywe problemy.

Już choćby wtedy, gdy umarło.

Jeśli do stworzenia religii nie wystarczy widok leżącego w piasku i parującego stolca, który przed chwilą wydobył się z otworu ciała, to musi tym być widok martwego ciała. Martwego ciała matki. Albo dziecka. Kogoś – kto był, a się zmył, tyle że pozostawił ślad.

Czy takie ciało staje się tylko biologicznym odpadem, czy też ma swoją świętość? Czy wytwarza tabu? Czy ciało w ogóle kiedykolwiek było tylko?

Procesy ciała wymagają kamuflowania. Już choćby dlatego, że właściciel ciała może chcieć zrealizować jakąś strategię, która nie może zostać wyjawiona przez ciało: niech za przykład wystarczy samiec człowieka okazujący samicy człowieka obojętność, prezentując jednocześnie potężny wzwód. Wiadomo, że wtedy jego strategia na „zimnego” nie miałaby szansy powodzenia. Taki samiec musi założyć gacie, choćby były one z szorstkiego lnu powodującego podrażnienia w pachwinach.

No bo czy w ogóle można myśleć o zaprezentowaniu wyniosłości, gdy wszyscy mogą obserwować pulsowanie naszego zwieracza lub falowanie fałdy brzusznej?

Doskonale wyraził to Milan Kundera mówiąc, że najbardziej wstydzimy się tego, co dla naszych ciał najbardziej oczywiste. Wstydzimy się jego kształtu, jego odruchów i potrzeb. A co za tym idzie, wielką naszą potrzebą jest ukryć ciało – najlepiej za fasadą przesądów, konwenansu, zakazów i nakazów, które w skrócie można nazwać moralnością.

Wielu nauczycieli mówiło nam, że w człowieka została „wszczepiona moralność”. Sumienie. Naturalne rozumienie dobra i zła. Pytanie jednak, czy to nie jest dużo prostsze i nie wynika wprost z banalności ciała? Jest mi zimno i jestem głodny – obowiązkiem moralnym mężczyzny jest więc zapewnić schronienie i opiekę. Boli mnie, jak się skaleczę, wielkim więc boskim postulatem jest „nie zabijaj”. Wstydzę się, że się starzeję i umieram – wielkim moralnym obowiązkiem jest więc

szacunek. ITD.

Może to aż tak proste? Ciało – jedyna rzeczywistość, która została nam dana do poznania – źródło i cel wszystkiego. Moralność jako fasada.

Kiedyś myślałem, że to w języku zaklęta jest rzeczywistość. W sumie nadal tak myślę. Słowa, emblematy, definicje i wzajemne relacje pomiędzy pojęciami stwarzają rzeczywistość, której doświadczamy – myślałem. Nie mamy dostępu do rzeczywistości inaczej niż poprzez jej reprezentacje – słowa i obrazy. Prawda i fałsz są zjawiskami relatywnymi, gdyż nie dotyczą „rzeczywistości” obiektywnej, a tylko wewnętrznej logiki języka. Nazywanie to stwarzanie i dopiero to, co nazwane, staje się częścią rzeczywistości poznawalnej. Wyobraźnia jako wielki piec rzeczywistości. Rzeczywistość to zjawisko psychiczne – mówiłem.

I to wszystko było zadowalające, ale nieustannie męczyła mnie potrzeba nazwania owej pozajęzykowej rzeczywistości. Zawsze czułem, że istnieje coś obiektywnego, coś poza językiem. I tu wpadałem w sprzeczność. Ta pozajęzykowa rzeczywistość miała tendencję do metafizyki. Bo cóż by to miało być? Atom? Energia? Elektron, kwark? Nie! To przecież właśnie obiekty wyobrazeniowe – słowa. Miłość, mówiłem więc – i Współczucie – oto zjawiska pozajęzykowe – oto rzeczywistość obiektywna, myślałem. Ale od razu czułem, jak to brzmi. Jak nauczanie Buddy.

Problem w tym – i zawsze to dostrzegałem – że nie wiadomo, czym są Miłość i Współczucie. Nie wiadomo czym są, dopóki się ich nie odczuje – czyli dopóki nie wytworzy się tych zjawisk w sobie. W sobie, czyli gdzie? Oczywiście od razu ma się ochotę powiedzieć, że skoro to mają być zjawiska obiektywne, to muszą pochodzić z zewnątrz – od jakiegoś pozakosmicznego źródła. Miałem kłopot z takim myśleniem, gdyż wprowadza ono element religijny.

I nagle mnie olśniło – a nie było to dawno – że Miłość i Współczucie są stanami ciała.

Jakie to proste! – pomyślałem. I jakie to obiektywne! Obiektywne – bo pochodzące od obiektu. Od ciała.

Zabawne, że dostrzegłem tę możliwość po ponownym przemyśleniu historii męki Jezusa... Zgadza się! Pisząc coś zrobiłem sobie dygresję na temat Jezusa, próbując przedstawić jego figurę jako figurę kobiety. I nagle do mnie dotarło, że wszystko to, co dzieje się z Jezusem, jest historią jego ciała! Mało tego! Jest tam niezwykle oryginalny element, którego nie ma w innych mitach – propozycja, by pożreć jego ciało.

Czy z taką propozycją do ludzi zwraca się jakikolwiek inny Bóg? Budda? Nie. Zeus? Nie. Krishna? Też nie. To jest coś wyjątkowego – pomyślałem natychmiast i coś niezwykle doniosłego.

Już wcześniej wiedziałem, że dla twórcy – czy to będzie poeta, czy malarz, czy tancerz – ciało jest pierwotnym instrumentem i źródłem. Ale jakoś nie potrafiłem zdać sobie sprawy z doniosłości roli ciała – jego roli wytwórczej. Ciało człowieka, ciało Boga. Pożeranie ciała, ofiara z ciała, misterium ciała itd. Tkwiłem w starym i błędnym przekonaniu o rozdzieleniu duszy i ciała. A przecież wystarczy uznać, że dusza jest wytworem ciała! Jego funkcją poznawczą!

I nagle mi się to zamknęło. Pojąłem, że jestem swoim ciałem, tak jak Ty jesteś swoim ciałem. Twój los jest losem Twojego ciała, ciało Cię stwarza i kształtuje, nie ma Cię poza ciałem – a nawet powiem więcej – nie ma nic poza Twoim ciałem. Cała Twoja rzeczywistość jest w Twoim ciele.

Czy to oznacza subiektywność? – bo niby każdy z nas patrzy z wnętrza własnego ciała, więc nie ma rzeczywistości wspólnej? Tak i nie! Tak, bo rzeczywiście każdy z nas ma wyjątkową perspektywę wynikającą z kształtu własnego ciała, a z drugiej strony, każdy z nas ma ciało i to jest rzeczywistość wspólna.

Wyobraźmy sobie, że ciało zostaje wydane na męczarnię innych ciał – jak ciało niewolnika lub ciało kurwy – że jest miętoszone, ugniatane, drętwione, łamane – co wtedy? Jeśli sobie wyobrazić horror ciała zdominowanego, uwięzionego, oplutego. Jeśli sobie przypomnieć stosy ciał – ciała zwalane do dołów przez buldożery...

Czy wtedy dziwi jeszcze, że ciało musi się ukryć?

### **CZY ISTNIEJE EMPATIA?**

Jasne, że tak. Istnieje. Zastanawiam się jednak, czym jest...

Przypomina mi się byk z brązu – grecki wynalazek do dręczenia ciał. Do wnętrza byka wsadzano nieszczęśnika, a pod bykiem rozpalano ogień. Trzeba sobie wyobrazić doświadczenie tego ciała – piekące ściany byka, skwiercząca i pękająca skóra, gorące powietrze w płucach i krzyk – ryk, którego nie da się powstrzymać. Może taki ofiarnik najpierw sobie obiecywał, że nie wrzaśnie, że umrze z godnością, że nie da satysfakcji ciemiężycielom – ale nie! Nie da się! Ten ból jest silniejszy – to piekło. Ryk wydobywa się sam, wcale go nie trzeba ryczeć. I byk się odzywa. A wokół byka zebrany tłum śmieje się z rozkoszy i klaszcze w dłonie.

Empatia... Czy miał w sobie empatię człowiek, który wymyślał byka? Perillus... czy wczuwał się w cierpienia ofiary, czy też był tylko zachwycony swoją przemyślnością?

A jeśli współodczuwał, to z kim? Może z katami? Może współodczuwał radość?

Na filmie widzimy bojowników ISIL obcinających głowy. Współodczuwamy. Ale kto mi zaręczy, że nie współodczuwamy z katami? Kto zaręczy, że myśląc o cierpieniach zadawanych człowiekowi w stalowym byku nie odczuwam przyjemności? Takiej, jaką odczuwali ludzie słuchający wycia i sapania z nozdrzy potwora, gdy wewnątrz żywcem smażyło się ciało. Człowiek, którego pewnie przed chwilą jeszcze znali.



Kto jest pewien, że nie drzę z rozkoszy na myśl, że to ja mógłbym być doktorem Mengele i mieć władzę nad tysiącami ludzi, którzy wysiadają z pociągów? Że to nieosiągalne? Że tego nie da się ziszczyć? Ależ da się! Był kiedyś jakiś Mengele i osiągnął taką władzę nad ciałami – dlaczego nie miałbym marzyć, że to będę ja?

Skąd pewność, że moją aspiracją nie jest stanie się zbrodniarzem? Katem więziennym? Upiornym wodzem? Tyranem, mordercą, gwałcicielem?

Czy naprawdę tak trudno marzyć o sobie w stroju faszysty?

### **CZY ISTNIEJĄ PRAWO I ZASADY?**

Pewnie, że tak. Rozumiem obrońców prawa – jak choćby moją koleżankę, profesorkę Monikę Płatek, która z taką werwą występuje publicznie w obronie prawa – ona wie, że prawo jest ułudą, że opiera się na wierze, że może zniknąć z dnia na dzień. Czy na Majdanie było prawo, gdy snajperzy zaczęli strzelać w tłum? Wystarczy zerknąć na obrazki z Syrii. Aleppo – tam też istniało jakieś prawo. Też były zasady. A dziś?

I może tego właśnie ludzie chcą? Może wie to profesorka Płatek i może stąd jej werwa? Może profesorka Płatek czuje pod skórą, że pewnego dnia może się obudzić w świecie bezprawia, w którym każdy chłystek z giwerą będzie mógł ją wywlec na ulicę w profesorskiej koszuli nocnej i obić batogiem?

Niech mi pani profesor wybaczy ten obraz – to jednak nie chodzi przecież o panią Płatek, a o każdą panią i każdego pana. Wszyscy się boimy, bo każdy z nas wie dokładnie, że gdy rano wywleką go z domu na ulicę, nie pojawi się żaden Bóg, by go obronić, żaden anioł, który zastawi go pierśią, ani nawet żaden Batman.

Ciało.

No nie wiem, myślę dalej.

Autorstwo: Rafał Betlejewski

Źródło: [MediumPubliczne.pl](https://mediumpubliczne.pl)